ISSN 1505-8476

informator
GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

nr 179
kwiecień 2004

NIECH SIĘ ŚWIĘCI 1 MAJA!

„PIES BASKERVILLE'ÓW" VS. „PIES ANDALUZYJSKI"

Nie lubię uproszczonego rozdzielana dzieła literackiego czy filmowego na „treść" i „formę". Może powodują to skojarzenia ze starym sloganem „socjalistyczne w formie – narodowe w treści"? Jednak w jakimś stopniu będę musiał skorzystać z tego w tym wstępniaku: chcę się bowiem skupić na czymś takim jak **fabuła**. A że nie jest to żaden esej teoretycznoliteracki, tylko luźne refleksje – niechże czytający to Koledzy-Filolodzy (jeśli takowi się trafią) łaskawie mi wybaczą...

Dawniej mniej wyrobiony czytelnik/widz skupiał się na fabule właściwie wyłącznie. Śledził z zapartym tchem perypetie bohaterów, niecierpliwie oczekiwał, **co** będzie dalej – i nie zauważał właściwie, w jaki sposób to wszystko zostało opisane albo sfilmowane (a często, zwłaszcza w przypadku filmów i seriali, były to widowiska żałośnie siermiężne!). Później nastąpiła zmiana. Z czasem widz wyrobił się, zaczął doceniać również owo **jak**. Aż doszło do przegięcia w drugą stronę, zauważalnego zwłaszcza w kinie: **jak** zaczęło przyćmiewać **co**.

Niektórzy producenci i twórczy doszli więc chyba do wniosku, że **fabuła** może być nijaka lub wręcz debilna – to wszystko zastąpiła (pusta często) **forma**. I nie mam tu na myśli formy wyrafinowanej warsztatowo, często zresztą połączonej z głębią treści (jak np. w *Weselu* Andrzeja Wajdy) – tylko cyrkowo-komputerowe widowisko. To casusy rozmaitych *Aniołków Charliego* i temu podobnych „hitów" dzisiejszego Hollywood; jedna pociecha, że podobna pustota wcale nie plasuje się na top-liście, więc widz do końca jeszcze nie zgłupiał.

W początkach tego roku przypomniałem sobie, dzięki telewizji publicznej i własnemu magnetowidowi (nadali oczywiście w nocy...), „pulp-western" Sergio Leonego *Dobry, Zły i Brzydki*. Uwielbiam tego reżysera! Zarówno jego wczesne filmy (*Za garść dolarów*, *Garść dynamitu*), jak i te późne (*Pewnego razu na Dzikim Zachodzie*, *Pewnego razu w Ameryce*).

I zawsze, gdy o nim myślę, ogarnia mnie refleksja nad kwestią tego „łutu szczęścia" w sztuce. Bohater wstępniaka sprzed miesiąca, Quentin Tarantino, jest na topie – pieniądze, nagrody, sława, szacunek, legenda... Sergio Leone przez długi czas nie był traktowany poważnie przez filmowy światek. Właściwie dopiero pod koniec życia doczekał się uznania i laurów (zresztą do dzisiaj dla wielu snobów jest przykładem kina, które nie należy traktować poważnie). A przecież Sergio był przed Quentinem! Tworzył filmy tak „pojechane", że dopiero dziś doceniamy je w pełni jako forpocztę postmodernizmu. Doskonale opowiedziane, sfilmowane, zagrane. Nie będę jednak w tym wstępniaku skupiał się na ich formie (zdjęcia, muzyka, aktorstwo) – ograniczę się do **fabuły**.

Otóż te zwariowane, łamiące zastane konwencje, filmy – były nie tylko perfekcyjnymi zgrywami: scenariusze tych historyjek nie tylko „trzymały się kupy", ale zadziwiały precyzją i wciągały widza bez reszty! Jeśli na początku filmu „podziwiamy" w długaśnym ujęciu buziuchnę bandziora – to owa miła fizis zagra jeszcze, w połowie filmu, ważną rolę w danej historii. Jeśli odejdziemy od telewizora nalać sobie kawy lub herbaty – to pogubimy się w dalszym ciągu historii, gdyż wydarzyło się kilka ważnych rzeczy.

Gdybyż ten szacunek dla widza był dziś powszechniejszy! Ale... może to kwestia „głodu scenariuszy"? Tyle wspaniałych historii kino już opowiedziało, że naprawdę coraz trudniej wyhodować perełki w rodzaju *Szóstego zmysłu* czy *Matrixa*!

Ów „głód" odczuwają również twórcy komiksowi: wielu świetnych polskich rysowników (zwłaszcza młodych) rozpaczliwie poszukuje dobrych scenarzystów; a często, by zaistnieć, marnują swą kreskę obrazując wypociny lub bełkot licznych grafomanów...

Osobiście żywię wielki podziw dla ludzi potrafiących tworzyć ciekawe, pomysłowe, nośne scenariusze; ja nie mam tej umiejętności (*Wampiury* są przecież zbiorem gagów!).

Ale o **formie** też nie zapominajmy: *Dobry, Zły i Brzydki* to nie tylko świetna historia, ale też świetnie opowiedziana, zaś uroczy *Desperado* Roberta Rodrigueza istnieje tylko dzięki niej (formie), gdyż o jakiejś sensownej fabule trudno tu w ogóle mówić.

Jan Plata-Przechlewski

URODZINY

Dostojni Czerwcowi Jubilaci!
Dwunastu gwiazdek z jasnego nieba życzy Wam

Redakcja „Informatora"

3 Grzegorz Malik
5 Jacek Inglot
6 Krzysztof Graff
10 Małgorzata Janiszewska
Krzysztof Stokrocki
13 Aleksander Jurczak
Wojciech Segiet
15 Jakub Janc
16 Marek Dąbrowski
18 Rafał Stokrocki
21 Dariusz Czajkiewicz
Marta Witkowska
24 Adrian Chromański
25 Krzysztof Chromański
27 Błażej Rajkowski
29 Krzysztof Pezena
30 Dariusz Wojtczak

KWIETNIOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF

Odbyło się w dniu 25.04.2004 r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

I. SPRAWY ORGANIZACYJNE

Zarząd, przy jednym głosie wstrzymującym, rozwiązał Klub Lokalny „Murtne Cepurra". Członkowie mogą przenieść się do dowolnego Klubu Lokalnego GKF lub KCzK w terminie do 20 maja br., pod warunkiem opłacenia składek.

II. SPRAWY PERSONALNE

1) Zmiany funkcyjne
Na wniosek Prezesa GKF Zarząd mianował Radosława Łagana szefem Działu Bibliotecznego.
2) Zakończenie stażu kandydackiego
Angmar: Przemysław Baranowski
3) Przyjęcie kandydatów
Angmar: Maciej Dawidowicz, Paweł Lewandowski
Brethren: Marek Ambroziński, Maciej Chudoba
Snot: Michał Krzemiński
Abyna: Katarzyna Arczewska, Ewa Bocheńska
4) Skreślenie z listy członków GKF
– na własną prośbę: Sławomir Wróblewski (KS Fremen), Wojciech Przystolik (KCzK);
– za nieuregulowanie składek za 2004 r.:
Abyna: Iwona Anczaruk, Justyna Damięcka, Iwona Szynkarczyk;
KCzK: Natalia Młynarz, Andrzej Młynarz, Magdalena Tyszecka, Rafał Tyszecki, Piotr Ryś.
5) Cofnięcie skreślenia
Cofnięto skreślenie z listy członków GKF Tomasza Malika i Mariusza Kanabrodzkiego
6) Przeniesienia
Magdalena Koreń z byłego KL Murtne Cepurra do KL Angmar.
7) Urlopy
KS Fremen: Sławomir Hamerla – 2004 rok.

III. SPRAWY FINANSOWE

Skarbnik GKF przedstawił bieżące sprawozdanie finansowe.

Dementi(a)

Szanowni czytelnicy! Jak z pewnością zauważyliście, w poprzednim numerze pozwoliliśmy sobie na kilka primaaprilisowych żartów. Śpieszymy zatem sprostować błędne i nieprawdziwe informacje:

- „Wampiury" PiPiDżeja zostaną zrealizowane w wersji aktorskiej, nie animowanej;
- Sepulkon odbywać się będzie nie w pierwszym, lecz w ostatnim tygodniu marca;
- tegoroczny Nordcon nie będzie darmowy: wszyscy uczestnicy w zamian za udział w konwencie otrzymają po 20 zł*;
- dotacja z Fundacji Społeczeństwa Obywatelskiego L. Kronenberga przeznaczona zostanie w całości na wykup na własność klubu „Maciuś I". Miłośnicy Dawida Brykalskiego będą musieli obejść się smakiem;
- Waldemar W. od migreny pochodzi z Rudki Dużej, nie zaś z Rudki Małej.

* starych! (przypis skarbnika GKF)

PYRCON

Dawno, dawno temu... A konkretnie na początku marca – pojechałem na Pyrkon. O konwencie Poznaniaków słyszałem już wiele dobrego, a największe wrażenie robiło to, że z kameralnej jednodniowej imprezy przerodził się w solidny, kilkudniowy zjazd ogólnopolski. Program stricte literacki został rozbudowany i rozszerzony na rozmaite dziedziny pokrewne fantastyce, a gracze rozplenili się nie gorzej od "literatów". Musiałem więc w końcu zobaczyć taką imprezę na własne oczy, tym bardziej, że wizyta w Poznaniu była dobrą okazją, aby pozałatwiać sporo spraw teleportowych.

I nie zawiodłem się, a rozmach imprezy zrobił na mnie spore wrażenie. Doszły mnie wprawdzie słuchy, że ongiś było lepiej, ale że nie byłem i nie mam porównania, to powiem tylko: mnie się podobało. "Mój" program publicystyczny miał aż cztery równoległe ścieżki programowe, co sprawiało, że często trudno było uniknąć czasowej schizofrenii. A że z tym i owym trzeba było zamienić parę słów – to na prelekcje zostawało jeszcze mniej czasu. Cóż, *c'est la vie*. Przeżyłem to spokojnie, a dla zracjonalizowania sobie nadmiaru obowiązków mogłem poczuć się starym, zblazowanym konwentowiczem, co wszystko już widział i w związku z tym jedna czy druga nieobecność nie robi na nim wrażenia (patent przydatny studentom). Tym niemniej gdy już dotarłem na prelekcję, serce moje radowało się ich poziomem i wysoką frekwencją (przeciętnie około trzydzieści osób na sali, niekiedy ponad setka).

Nie sposób wymienić tu wszystkich spotkań, ograniczę się zatem do kilku. Bodaj najciekawsze odbyły się w niedzielę: najpierw Lech Jęczmyk na spotkaniu "Radio Free NF nadaje" opowiadał o kulisach pracy w redakcji i swojego jej zakończenia, później zaś Maciej Parowski wspólnie z publicznością zastanawiał się nad kondycją swojego pisma. Wyczuwalna była atmosfera schyłku: zwykłe krytykowanie doboru tekstów zeszło na plan dalszy (wspomniano jedynie o *wannabe*–kontrowersyjnym "Kiju w mrowisko"), a w zamian rozważano zmiany personalne, zmiany linii pisma i dane o sprzedaży. Najbardziej chyba symptomatyczne było jedno z pytań zadanych redaktorowi: "Ile ci zostało do emerytury?..." Szkoda: Parowskiego jest za co krytykować, ale też ślepiec tylko nie zauważy, że to po prostu mądry facet, którego zasługi dla polskiej fantastyki są niezaprzeczalne. Szkoda.

Z milszych akcentów – odbyło się także spotkanie z autorami "Nowej": było ciekawie i uprzejmie (także ze strony wiadomo kogo), a skutkiem ubocznym mojej na nim obecności jest zaproszenie Witolda Jabłońskiego na Teleport. Jak zwykle interesująco było również na spotkaniu z "Runą", a o dawnych i nowszych czasach ciekawie opowiadał Wojtek Sedeńko.

Debiutujący w "Runie" Michał Studniarek mówił o błędach, jakie może popełnić pisarz, dla przykładu maltretując wraz z porannie nieliczną tym razem publicznością opowiadanie znalezione w Internecie. Z akcentów oryginalnych, gościł na imprezie Tomek Budzyński, lider zespołu "Armia" – który w temacie fantastyki niekoniecznie miał wiele do powiedzenia, ale za to był sympatyczny i miał fajną czapkę.

Z akcentów innych – karciarze obsiedli dużą salę karcianą i grali, a figurkowcy obsiedli wielką ilość dużych, zielonych i żółtych plansz i też grali. RPG–owców nie widziałem, ale pewnie grali również, tyle że pochowani. Odbyłem wprawdzie kiedyś dwie gry karciane, dwie sesje RPG i jedną grę strategiczną, ale mądrzejszy się od tego nie zrobiłem – sorry. Może jakiś gracz z GKF-u wreszcie się wykaże i pozwoli mi przestać czuć się dinozaurem, co przyznaje się po raz kolejny, że on ani be, ani me i tego to już nie dogoni swym poziomem intelektualnym, nawet w porywach i podczas szkwału, w związku z czym na opisywanie czarnej magii porywać się nie będzie.

Z akcentów towarzyskich – integracja wzajemna przebiegała prawidłowo, a jej wskaźnikiem (pozdrowienia dla Agaty i innych socjologów) była pełna knajpa po drugiej stronie ulicy. Ja osobiście na obiekt integracji wybrałem tradycyjnie kolegę Bronharda: najpierw tradycyjnie omówiliśmy przy piwie sytuację w polskiej literaturze fantastycznej, ze szczególnym uwzględnieniem "Zajdli", po czym, po nagłym napotkaniu tradycyjnego Inglota, udaliśmy się w knajpiany labirynt korytarzy celem zacieśniania integracji z szerszą reprezentacją "Drugiej Ery". Następnie zaś tradycyjnie wystartowaliśmy razem w kalamburach. Idzie nam coraz sprawniej: znowu byliśmy trzeci, ale tym razem popełniliśmy tylko jeden błąd, a kilka innych ekip naśladowało nasz system znaków – jeszcze o nas usłyszycie!

W kwestiach organizacyjnych mam dwie uwagi pozytywne i jedną negatywną. Bardzo dobrym pomysłem było zorganizowanie szatni: dzięki niej można było pozbyć się nieporęcznych kurtek. Bardzo użyteczne jest też wprowadzenie limitu czasowego na przysyłanie propozycji programowych: dzięki temu przynajmniej w teorii łatwiej jest ułożyć program i zdążyć z przygotowaniem informatora. Bardzo nieużyteczny jest natomiast brak kontroli nad tym, kto wchodzi na teren konwentu: gdy uczestnika pyta się jedynie o nazwisko i nawet nie legitymuje, to wszelkie ewentualne straty (w rodzaju rozbitej szyby) spadają na organizatorów, a i bezpieczeństwo trudno zapewnić.

Ostatni ten mankament nie jest jednak istotny z punktu widzenia uczestnika, mogę zatem śmiało poznański konwent polecić. Pyrkon wyrósł na jeden z najciekawszych konwentów w Polsce, z imponującą listą gości i imponującym rozmachem programem – a jego niski koszt dodatkowo zachęca do przyjazdu. Zdecydowanie warto.

Michał Szklarski

KONKRET 2004

Konkret 2004 zorganizowany przez Konfederację Fantastyki „Rassun" i Stowarzyszenie „Humor i Fantastyka" odbywał się w dniach 2-4 kwietnia w Młodzieżowym Domu Kultury w Warszawie. Miejsce nie najciekawsze, ale uczestnicy i organizatorzy jak zwykle potrafili stworzyć odpowiedni nastrój. Zaproszone osobistości fandomu stawiły się tłumnie i choć jeden z gości honorowych, Andrzej Pilipiuk, wybrał konkurencyjny konwent we Wrocławiu, program i tak był bogaty.

Spotkania wszystkich trzech bloków tematycznych (literackiego, fandomowego i RPG) rozpoczynały się z godną pochwały punktualnością. Odbyło się także kilka konkursów, których uczestnicy nie mogli narzekać na atrakcyjność nagród – zdobyć można było m. in. najnowszą powieść Anny Brzezińskiej *Letni deszcz. Kielich*.

W ramach bloku literackiego odbyły się głównie spotkania z pisarzami, których wydaje Runa, Anna Brzezińska i Rafał Ziemkiewicz opowiedzieli o swych ostatnich dokonaniach i planach na przyszłość. W bloku fandomowym poruszano zagadnienia z różnych dziedzin fantastyki. Paweł Ziemkiewicz przedstawił fragmenty dwóch z pięćdziesięciu najgorszych filmów na świecie: *Robot Monster* i *Plan 9 z kosmosu* – wrażenie rzeczywiście niepowtarzalne. Podobne arcydzieła można było podziwiać podczas Nocek Filmowych. Na blok RPG składały się głównie LARP-y i tematycznie z nimi związane prelekcje. Mówiono między innymi o tym, jakie style można wyróżnić w grach fabularnych, dlaczego Warhammer przewyższa *D&D* i ilu właściwie jest bogów Chaosu.

Konkret 2004 został dobrze przygotowany. Choć uczestnicy nie mieli do dyspozycji tak komfortowego miejsca, jak nordconowy „Hutnik", był to przyjemnie spędzony weekend.

Karolina „Miriel" Górska

WOJENNY MŁOT 2004

W dniach 24-25 kwietnia w Warszawie, w hali sportowej DKS "Targówek" odbyła się impreza "Wojenny Młot 2004", organizowana m.in. przez Games Workshop.

Na turniej udała się dość liczna ekipa "Snota". Po przybyciu na miejsce należało się zarejestrować. Tego roku rejestracja przebiegła wyjątkowo sprawnie, w znacznej mierze dzięki temu, iż swoje uczestnictwo należało zgłosić z minimum trzydniowym wyprzedzeniem. Negatywną stroną tak sprawnej organizacji był fakt, że tego roku od nikogo nie zapomniano pobrać opłaty za wjazd, wynoszącej 10 pln.

Na imprezie stawiło się ponad 160 graczy WFB, 51 graczy WH40k, a także o wiele skromniejsze grupy graczy LotR oraz Mordheim. Po przeprowadzeniu rejestracji, z tradycyjnym dla tego typu imprez poślizgiem, rozlosowano przeciwników.

Pierwsza bitwa – Cleanse II

Mój pierwszy przeciwnik – armia strzelających Ultrasów. Będąc zmęczony podróżą (czymś się w końcu muszę wytłumaczyć:–P), zaliczyłem totalną przegraną na własne życzenie (tak to już bywa, gdy ktoś wdaje się w pojedynek strzelecki z przeciwnikiem mającym przewagę w sile ognia:–P).

Druga bitwa – Dawn Assault

Po pierwszej bitwie pojawił się drobny zgrzyt – okazało się, iż organizatorzy nie zorganizowali graczy rezerwowych, przez co zmuszony byłem pauzować. Z jednej strony było to najłatwiej zdobyte 13 punktów turniejowych w życiu – z drugiej, nie po to się jedzie przez pół Polski, żeby nie grać. Wykorzystałem więc ten czas na stoczenie bitwy poza turniejem z Wilkami Tomkowa. Bitwa, jak to między DA a SW bywa, była krwawa, ale przyjemna (niestety, znów przegrałem – tak to jest, gdy się gra Deathwingiem). Była to moja pierwsza bitwa z Wilkami na tym turnieju, ale – jak się okazało – nie ostatnia.

Trzecia bitwa – Pitched Battle

W trzeciej bitwie moim przeciwnikiem były... Wilki. Bitwa jednak, jak na starcie dwóch tak pałających do siebie niechęcią zakonów, była dość niemrawa. Przedziwny teren nie sprzyjał zbytnio walce manewrowej, skończyło się więc na dość statycznej wymianie ognia. Wynik – remis (aczkolwiek mało brakowało – w przedostatniej turze przypomniało mi się że gramy na ćwiartki :-P).

Czwarta Bitwa – Escalating Engagement

Walka tradycyjnie z.... Wilkami (musi być prawdą, co opowiadają o niechęci naszych zakonów). Przeciwnik miał armię złożoną dość ciekawie – wariant powietrzno–desantowy. Na tę misję jak znalazł, szczególnie że sama misja na turniej nadaje się dość średnio. Walka była krwawa, aczkolwiek mocno chaotyczna (kolejność w jakiej jednostki pojawiały się na stole była losowa). Ostatecznie bitwa zakończyła się moją małą przegraną (co było i tak niezłym wynikiem dla Deathwingu walczącego na bliski dystans z SW).

Generalnie sam turniej przebiegał spokojnie, aczkolwiek można było usłyszeć o dziwnych rozstrzygnięciach sędziów, a także ujrzeć przykłady trudnej sztuki kantowania. To tyle, jeśli chodzi o podsumowanie pierwszego dnia imprezy.

Po ciężkiej nocy (battlowcy nie umieją śpiewać), nastał dzień drugi imprezy. Zgodnie z nową świecką tradycją był to "dzień chodzony" (czyt.: organizatorzy zarekwirowali wszystkie krzesła). W tym dniu oceniane było malowanie i historie armii biorących udział w turnieju, a także odbył się konkurs malarski. Oprócz tego można było ujrzeć prezentację różnych systemów produkcji GW. Na stoisku samego GW można było podziwiać okładki "Storm of Chaos", "Armady" oraz pierwszego numeru "Fanatic Magazine. Niestety, wnętrza wyżej wspomnianych pozycji nie prezentowano już tak chętnie. Poza tym GW zaprezentowało też nowe modele, przy czym osoby prowadzące prezentację nie zawsze wiedziały, co owe modele miały przedstawiać.

Około godziny 15 rozstrzygnięto konkurs malarski. Wśród nagrodzonych znalazł się Paweł Kruciński ze "Snota" (pseudonim "Gollum"), który zdobył I nagrodę w kategorii "Potwór 40k", równocześnie zdobywając Grand Prix całego konkursu.

Półtorej godziny później ogłoszono wyniki turniejów oraz Lig Ogólnopolskich. Nagrodzeni zostali następujący członkowie "Snota":
Łukasz Węglowski (ps. "Dziadu") za zajęcie I miejsca w turnieju WH40k
Sławomir Seta (ps. "Seta") za zajęcie III miejsca w Lidze Ogólnopolskiej WH40k
Krzysztof Filipowicz (ps. "Kichu") za zajęcie V miejsca w konkursie malowania armii.

Przy okazji rozdania nagród przedstawiciel GW, pan Darek Wyrozębski, ogłosił iż w listopadzie ma się odbyć pierwszy Grand Tournament dla Europy wschodniej.

Podsumowując, nikt nie żałował że pojawił się na imprezie i należy ją uznać za bardzo udaną.

Yedli

Witam w imieniu organizatorów konwentu MAELSTROM

Chciałabym poinformować, że 22 maja w Warszawie (IV Społeczne Gimnazjum, ul. Bachmacka 3, Mokotów) odbędzie się charytatywny konwent miłośników fantastyki oraz mangi i anime "Maelstrom", z którego dochód przeznaczony zostanie na Schronisko dla Bezdomnych Zwierząt "Na Paluchu". W programie przewidujemy m.in. spotkania z pisarzami (Maja Lidia Kossakowska, Anna Brzezińska, Jarosław Grzędowicz, Jacek Komuda, Bartek Świderski, Andrzej Zimniak, Piotr Zwierzchowski oraz najprawdopodobniej Rafał A. Ziemkiewicz, Jacek Dukaj i Jacek Piekara), rozmaite prelekcje, sesje RPG, LARP, turniej Magic, salkę GO, pokazy fanfilmów (zarówno fantastycznych jak i anime) oraz liczne konkursy.

Pozdrawiam,
Dobromiła Górczyńska
organizator konwentu Maelstrom

www.maelstrom.prv.pl
maelstrom.web@interia.pl

Zaproszenie na OLKON

Data: 22 - 23 maja

Miejsce: Gimnazjum nr 3 w Olsztynie (centrum miasta).

Koszt: na dwa dni 25 złotych, jednodniówki: sobota 20 zł, niedziela 15 zł. Konwent zaczyna się o 10.00 w sobotę. W przypadku potrzeby przyjechania w piątek należy skontaktować się z organizatorami - zapewniony nocleg oraz brak nudy. Wejście w piątek możliwe jest jedynie po opłaceniu pełnej akredytacji.

Zniżki: dla uczniów gimnazjum nr. 3, dla grup zorganizowanych (8 osób i więcej, zgłoszenie do 15 maja) oraz dla prelegentów.

Goście: Marcin Mortka - pisarz (*Ostatnia saga*), erpegowiec, skandynawista, autor opowiadań, wielu artykułów w „Magii i Mieczu" oraz „Portalu", członek-założyciel LARPowej grupy Bifrost; oraz **Michał 'Puszkin' Marszalik** - legendarna już postać polskiego rpg, redaktor „Magii i Miecza", autor wielu artykułów o rpg, autor gry fabularnej *Wiedźmin*, organizator Pucharu Mistrza Mistrzów, prowadzący Informator Konwentowy.

W programie: jedne z najlepszych grup LARPowych w Polsce: Maya i Bifrost; turnieje gier bitewnych; sankconowany turniej MtG; sesje rpg; darmowe karty WarCry i nauka gry połączona z turniejem; konkurs strzelecki i wiele innych konkursów z nagrodami; towarzyszący imprezie turniej rycerski na placu obok konwentu; świetne prelekcje; pokazy filmowe (bloki: klasyki, anime, nowości).

Organizatorzy: Stowarzyszenie Młodzież Przyszłością Regionu; Olsztyński Klub Fantastyki; Serwis Poltergeist.

Kontakt z organizatorami: Maciek Dzierżek (starlift@onet.pl, 608 609 874) oraz Mateusz Jakub Fafiński (famat@wp.pl)

Oficjalna strona konwentu: http://olkon.rpg.net.pl

NIUSY

1957-2004

W Wielką Sobotę zmarł Jacek Kaczmarski – bard, poeta, pisarz, jeden z najciekawszych polskich artystów minionego ćwierćwiecza.

Godne uwagi są jego poetycko-muzyczne programy – tworzone i w czasach PRL-u (np. „Raj", „Muzeum", „Mury", „Krzyk", „Kosmopolak"), i w III RP (np. „Wojna postu z karnawałem", „Sarmatia", „Pochwała łotrostwa", „Między nami", „Dwie Skały", „Mimochodem") – jak też powieści (np. „Autoportret z kanalią", „Plaża dla psów").

Jacek w swej twórczości czerpał nie tylko z wydarzeń historycznych i dzieł sztuki – ale inspirowała go również, co w przypadku polonisty jest raczej oczywistością, spuścizna literacka. W tym również szeroko pojęta fantastyka; znaleźć możemy utwory nawiązujące do dorobku Lema, do uniwersum Tolkiena, do lęków Witkacego, do wizji Boscha...

Wiem, że kilku moich Przyjaciół z GKF-u miało w tym roku smutne święta. Ja także.

jpp

„SHREK 2" NA KONKURSIE W CANNES

"Shrek 2" znalazł się w konkursie tegorocznego Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Cannes. Projekcja obrazu przewidziana jest na 15 maja.

W "Shreku 2" Shrek (Mike Myers) i księżniczka Fiona (Cameron Diaz) wracają z miesiąca miodowego i w domu zastają list od rodziców Fiony. Rodzice chcą ugościć nowożeńców, nie wiedzą jednak, że młoda para to ogr i ogrzyca. Rodzicom Fiony udzielą głosów Julie Andrews i John Cleese. W filmie zobaczymy ponownie Lorda Farquaada (John Lithgow), osła (Eddie Murphy) oraz nową postać - kota w butach (Antonio Banderas).

Pierwsza część przygód zielonego ogra również pokazywana była przed trzema laty w Cannes. Wówczas film nie zdobył żadnej nagrody.

MJS/misz

STUHR I ŻAK W ROLACH KAJKA I KOKOSZA

Wiadomo już, jacy aktorzy udzielą głosów tytułowym bohaterom krótkometrażowego filmu "Kajko i Kokosz", który powstaje w studio Virtual Magic. Będą to Maciej Stuhr (Kajko) i Cezary Żak (Kokosz). Film ma umożliwić sprawdzenie wszelkich problemów mogących wystąpić podczas działań związanych z produkcją pełnometrażową. Dzięki niemu autorzy chcą także poznać opinię grupy docelowej, dla której w przyszłości zostanie zrealizowany film kinowy. Autorami scenariusza filmu krótkometrażowego są: Janusz Sadza oraz reżyserzy Daniel Zduńczyk i Marcin Męczkowski. W pracach brał również czynny udział autor pierwowzoru Janusz Christa.

misz

POTTER BEZ DURSLEYÓW

W „Harrym Potterze i Czarze Ognia" zabraknie rodziny Dursleyów. Czwarta powieść z serii jest na tyle długa, iż trzeba było niektóre wątki zignorować. Scenarzysta Steven Kloves po konsultacji z reżyserem Mikiem Newellem postanowili zrezygnować z rodziny Harry'ego Pottera. Zatem wbrew tradycji nowy film nie rozpocznie się w domu Dursleyów – sądzę, że z pożytkiem dla filmu, jako że początkowe, umiejscowione tamże fragmenty były w dotychczasowych częściach stanowczo za długie.

Zdjęcia do „Czary Ognia" rozpoczną się w czerwcu.

misz

„WIĘZIEŃ AZKABANU” ZNAKOMITY?

Chris Columbus, reżyser pierwszych dwóch filmów z serii o Harrym Potterze i producent „Więźnia Azkabanu" uważa, że powierzenie reżyserii Alfonso Cuaronowi było znakomitym pomysłem. Columbus widział już film trzykrotnie i nie może nachwalić się pracy, jakiej dokonał jego następca: "Meksykański twórca znakomicie wyreżyserował kluczowe sceny. Mam na myśli scenę, w której Dementorzy po raz pierwszy atakują pociąg. Ten epizod jest naprawdę pięknie pokazany. Także scena, gdy Harry po raz pierwszy dosiada hipogryfa jest magiczna i niezapomniana. Te dwie sceny naprawdę zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Jestem dumny, iż uczestniczyłem w takim projekcie, ale przede wszystkim pochwały należą się Alfonso - za pracę jakiej dokonał".

Premiera filmu, także w Polsce – w czerwcu.

MJS/misz

SZEKSPIROWSKIE "GWIEZDNE WOJNY"?

Samuel L. Jackson zapowiada, że ostatnia część "Gwiezdnych wojen" będzie bardziej mroczna od poprzednich: "Fani byli bardzo niezadowoleni z »Mrocznego widma« gdyż uznali film za zbyt dziecinny. Teraz na pewno nie będą stawiali takich zarzutów. Nowe »Gwiezdne wojny« będą mroczne, szekspirowskie i skierowane do dorosłych. Będzie w nich też znacznie więcej przemocy."

W "Gwiezdnych wojnach: Części III" grają m.in. Ewan McGregor, Natalie Portman, Hayden Christensen, Christopher Lee, Samuel L. Jackson, Frank Oz, Ian McDiarmid, Jimmy Smits, Anthony Daniels, Kenny Baker i Peter Mayhew. Premiera filmu przewidziana jest na 19 maja 2005 roku.

MJS/misz

FILMY EDA WOODA, FILM O EDZIE WOODZIE...

W połowie kwietnia jeden z gdańskich DKF-ów zaprezentował najsłynniejsze horrory i filmy SF Eda Wooda (uznawanego za najgorszego reżysera w historii Hollywood) oraz film „Ed Wood” Tima Burtona (z Jonhnnym Deppem w roli tego kultowego już twórcy).

jpp

„SHREK 3” JUŻ W PRODUKCJI

Choć do premiery "Shreka 2" pozostały jeszcze cztery miesiące, wytwórnia Dreamworks już pracuje nad trzecią częścią obrazu. Na razie nie są znane szczegóły projektu – wiadomo już jednak, iż zielony ogr tym razem spotka się z Królem Arturem i Rycerzami Okrągłego Stołu.

MJS/misz

NOWOŚCI W RUNIE

Runa zapowiada na maj wydanie dwóch powieści. Pierwsza to „Wrota światów. Zła piosenka”, trzeci tom cyklu fantasy Tomasza Pacyńskiego zapoczątkowanego przez „Sherwood”. Druga natomiast to debiut: Michała Studniarka „Herbata z kwiatem paproci”, „baśń miejska z niedalekiej przyszłości” (*urban fantasy*).

misz

NOWOŚĆ W SOLARIS

10 maja ukaże się „najsłynniejsza powieść niemieckiej fantastyki”: Thomas R.P. Mielke „Sakriversum”. Przed laty drukowana była we fragmentach w „Fantastyce”. Mimo że powieść była w planach kilku wydawców, dopiero teraz ukazuje się w Polsce. „Chociaż jest to książka oznaczona plakietką SF, to jej znaczenie wyrasta znacznie poza ten gatunek, a bogactwo językowe, intelektualne stawia ją w rzędzie wybitnych powieści niemieckich. Prawdziwa wartość książki polega na bogactwie odniesień do średniowiecznej i późniejszej europejskiej kultury, nauki, historii, a przede wszystkim myśli filozoficznej”.

Autor będzie gościem wydawnictwa na XI Festiwalu Fantastyki w Nidzicy.

misz

Czy pisarz musi być sadystą?

— Już dobra, Jołop — odezwałem się. — Teraz ta druga rzecz, panie Boże dopomóż. — Więc on złapał się z tyłu za dziuszkę, która ciągle ach ach achała w takim bardzo horror szoł rytmie na cztery, wykręcił jej grabki do tyłu, tymczasem ja obdzierałem z niej to tamto i owo, a ci bez przerwy ho ho ho! i faktycznie to się okazały bardzo horror szoł i fajne grudki, co spojrzały na mnie tymi różowymi ślipkami, o braciszkowie, jak ściągnąłem rajtki i szykowałem się, żeby jej zapchnąć. (…) Potem się zrobiło tak raczej cicho, a nas rozsadzała jakby nienawiść, no to rozwaliliśmy, co jeszcze było do rozwalenia, maszynę, lampę, fotele, a Jołop (to typowe dla tego Jołopa) odlał się i zgasił ogień w kominku i chciał nasrać na dywan, bo papieru było dość na tym pojebowisku, ale ja powiedziałem stop. I: — Aut aut aut aut! raus! — dałem skowyt. Ten członio i jego psiocha byli tak jakby nieobecni, złachani we krwi i ledwie wydający jakieś odgłosy. Ale przeżyją.

Podoba się wam ten fragment „Mechanicznej pomarańczy” Burgessa? Jest odrażający… A jednak na swój sposób interesujący, prawda?

$

Jest takie brytyjskie opowiadanie, którego bohaterowie buntują się przeciw pisarzowi, który ich stworzył. Mają pretensje o nieustanne pakowanie ich w tarapaty, powodowanie tragedii rodzinnych, kryzysów małżeńskich, zabijanie ich bliskich – i o rozmaite inne sposoby nieustannego dręczenia.

Gdyby swoje zdanie o autorze mogli wyrazić bohaterowie tragedii Szekspira, zechcieliby chyba okrutnej zemsty, w wykonaniu której pomocne byłyby niewyczerpane pomysły samego mistrza. Do wyboru mieliby obcięcie rąk i języka, wyłupienie oczu gołymi rękami, poczęstowanie pasztetem przyrządzonym ze zwłok syna, zakopanie w ziemi, wbicie sztyletu w pierś przez dziecko, doprowadzenie do szaleństwa i samobójstwa, a także wpakowanie go w kłopoty w efekcie makiawelicznej intrygi – oraz wiele innych sposobów. Na deser zaś mogliby wykorzystać którąś z niezwykle skutecznych trucizn. Pod warunkiem wszakże, że w ogóle udałoby im się przeżyć – w rekordowym „Tytusie Andronikusie” ginie aż dwudziestu kilku bohaterów!

Problemy, do których rozwiązania zmusza się bohaterów, nie muszą jednak być aż tak spektakularne. W zupełności wystarcza na przykład niezrozumienie inteligenta przez małomiasteczkowe otoczenie, czy nawet nuda prowincjonalnego życia i powolne pozbywanie się pięknych złudzeń – jak u Czechowa. Problemem może być też choćby siąpiący deszcz, zbyt długa droga do przejścia, katar czy awaria tostera.

$

Dlaczego tak chętnie piętrzy się przed bohaterami przeszkody? W zrozumieniu tego problemu mogą nam pomóc... plakietki uczestników Nordconu '99. Każdy z nich musiał zdecydować, czy chce reprezentować stronę dobra, czy zła – i w zależności od tego otrzymywał identyfikator z odpowiednim hasłem. „Dobre” głosiło: „Dobro zwycięża!” – „złe” natomiast: „Zło jest ciekawsze!”. Tak w telegraficznym skrócie wyjaśnić można motywy wyboru tej, a nie innej tematyki prezentowanej w utworach literackich.

Oprócz przyciągania uwagi zło ma też inną wielką zaletę: jest dynamiczne. Gdy znajdziemy się w trudnej sytuacji, gruczoły pompują nam do krwi sporą ilość adrenaliny. Zło zmusza do działania: niemal każdy człowiek jest skłonny wiele uczynić, by jak najszybciej powrócić do stanu względnej równowagi i komfortu. Dlatego też zło jest najlepszym motorem napędowym każdej fabuły. Pisarz, który umiejętnie postawi

bohatera w trudnej sytuacji, zapewnia sobie dzięki temu kilkadziesiąt stron spokoju. Przez tydzień czy dwa pisanie wiąże się z mniejszym wysiłkiem: postać „sama" działa, usiłując wyrwać się ze sprytnie zastawionej przez twórcę pułapki.

A poza tym zło wywołuje emocje, uważane przez Rafała Ziemkiewicza (i nie tylko przez niego) za najważniejszy element literatury. Można zaryzykować tezę, że to właśnie dla nich sięgamy po książki – pragniemy w swoisty sposób przeżyć coś niezwykłego, odbiegającego od szarej rzeczywistości, choćby i groźnego.

$

Warto przy tym, aby sadystycznie dręczony bohater był zarazem osobą wybitną – co zwiększa prawdopodobieństwo zaakceptowania przez czytelnika i pojawienia się jego identyfikacji z postacią. Zwiększenie kontrastu między pozytywnymi, niekiedy podziwianymi cechami bohatera (mądrość, wybijanie się ponad ogół, wszelkiego rodzaju wyjątkowość i niezwykłość) a niesprawiedliwością i dramatem, jaki go spotyka, wywołuje efekt zauważony już przez Arystotelesa – i nazwany przezeń pathosem.

Pathos zaś – to po prostu silne emocje wywołane owym kontrastem. Niewątpliwie odczuwamy go, śledząc na przykład losy Endera Wiggina, Puña z Dukajowej „Szkoły" czy Paula Atrydy.

$

Najlepszym, świetnie sprzedającym się pomysłem jest zaś maltretowanie dziecka. Dzieci nadają się do tego najlepiej: są delikatne, kruche, wrażliwe, wymagają opieki i ochrony, łatwo je skrzywdzić. Przyciągają naszą uwagę i wywołują atawistyczny odruch opieki. Nadto nie powodują jeszcze negatywnych emocji – nietrudno jest współczuć osobie, która nie wyrosła jeszcze na cynika, oportunistę, radykała, złodzieja czy zwolennika przeciwnej opcji politycznej. Jeśli dzieci coś zbroją, podchodzi się do tego z pob-łażaniem. Nie ciąga się ich (na ogół) po sądach, nie próbują wykopać kogoś ze stołka, nie snują teorii spiskowych. Nie prowadzą wojen (a jeśli w nich walczą – to pod przymusem). Krótko mówiąc – czytelnikowi prosto jest się z nimi „zidentyfikować", to jest uznawać ich odczucia za własne, rozumieć je i podzielać.

Dlatego właśnie dziecko jest dla pisarzy doskonałą ofiarą. Ich sadyzm wobec młodych bohaterów sięga nieraz takich rozmiarów, że włos jeży się na głowie. Taki „David Copperfield" Dickensa na przykład – to historia upadku dziecka ze szczytów drabiny społecznej na samo dno. W fantastyce doskonałą ilustracją zjawiska są dzieci Orsona Scotta Carda – ponadprzeciętnie dojrzałe małe geniusze, z których świat i bezwzględni ludzie robią złamane wraki człowieka. Jednym z nich jest Ender – wrażliwy chłopiec zamieniony w mimowolnego masowego mordercę. Gdyby Card rzeczywiście urządził jakiemuś dziecku takie piekło, jak swoim bohaterom, do końca życia nie wyszedłby z więzienia o zaostrzonym rygorze!

$

Dubravka Ugrešić, wybitna chorwacka powieściopisarka i eseistka, zauważa, że dzisiejsza literatura to w niemałej mierze wielki katalog ludzkich zboczeń i nieprawości. „Od nagłego przyspieszenia na literackiej giełdzie pisarze dostali prawdziwej gorączki, prześcigają się w tym, kto wymyśli mroczniejszą i bardziej szokującą historię" – pisze. Przytacza przykłady bohaterki powieści kobiecej zjadającej własnego narzeczonego „jak japońskie *sushi*", a także policjanta traktującego brodawki kobiecych piersi jako przysmak kulinarny. „Podczas gdy pisarki wciąż opętane są fazą oralną (albo one kogoś jedzą, ale same zostają zjedzone), pisarze skłaniają się ku analnej. Powieści o pedofilach, sadystach i wszelkich zboczeńcach łamiących wątłe dziecięce ciałka są w wysokiej cenie. (...) Kiedy w grę wchodzi rynek, nikt nie cofa się przed niczym, wszystko jest mile widziane, nawet łagodne zwierzęta domowe, które rosyjski artysta Oleg Kulik wykorzystuje seksualnie w celach artystycznych."

Także wiele opowiadań i powieści fantastycznych nawiązuje do tego kierunku współczesnej literatury (nadążamy za mainstreamem, a co!). Z polskich utworów na myśl przychodzi mi, oprócz wspomnianej „Szkoły" Dukaja, na przykład prowokacyjny „Głos Boga" Jacka Soboty, opowiadający o kacie-pasjonacie.

$

Gdy jednak ktoś miał obiekcje moralne co do dręczenia literackich postaci, polecam wyobrażenie sobie świata, w którym wszyscy są weseli, syci, szczęśliwi i bogaci. Owszem, dostatnie życie pozbawione problemów jest rzeczą przyjemną – problem jednak w tym, że zarazem niebywale nudną. Zadowolenie i zaspokojenie potrzeb w niemałej mierze usuwa bodźce do dalszego działania; przeczytanie kilkusetstronicowej powieści, w której nic się nie zmienia, byłoby prawdziwą katorgą. Zresztą – po co opisywać podobne sytuacje, skoro praktycznie niemożliwe jest ich zaistnienie w rzeczywistości?

$

Wszystkie powyższe argumenty prowadzą do stwierdzenia, że pisarz oczywiście musi być sadystą. Bez tego ani rusz. Pisarz bez skłonności sadystycznych jest jak nieposolone kartofle: owszem, zjeść to się da, głód można dzięki nim zaspokoić – ale smak już, niestety, nie ten...

Twórca prozy musi być sadystą – ponieważ sadysta tkwi w każdym z nas. Przyznajcie się – czy nie odczuwacie swoistej sadomasochistycznej przyjemności, czytając o cierpieniach ulubionych bohaterów? Prawda, że wyobrażając je sobie, również wy odczuwacie dyskomfort – ale czytacie dalej!

Ja także nie zrezygnowałbym z tej przyjemności. Chcę widzieć krew obryzgującą Harry'ego Pottera, katastrofy światów, małych chłopców zabijających całe planety, złych królów, makiawelicznych spiskowców, złych policjantów ganiających za prawymi ludźmi, wojny nuklearne, tłuste, obleśne typy planujące zemstę, wraże wojska zalewające spokojne kraje, głupich antagonistów, buntujące się maszyny, psujące się wynalazki, podróże przez niegościnne tereny. Chcę widzieć ludzi głodnych, zakatarzonych, ze skaleczonymi palcami, spoconych, zasapanych, znudzonych...

$

Co oczywiście nie zmienia faktu, że nie chciałbym, by ich „przygody" spotkały również mnie. Wolałbym schizofrenicznie współczuć bohaterom, jednocześnie mając nadzieję na wciągnięcie ich w następną pułapkę.

Grunt to odpowiedni dystans – taki akurat, by trochę się pobać, paroma rzeczami przejąć – a potem wrócić do normalnego życia.

Marcin Szklarski

Z ARCHIWUM PIPIDŻEJA

Doktor Indiana Jones.
Telewizja przypomniała niedawno jego niezwykłe przygody, ukazało się również ekskluzywnie wydane DVD z tą filmową trylogią (plus „bonusy"), coraz głośniej mówi się o realizacji czwartej części opowieści.
Może więc podsumujmy dotychczasowe wrażenia...

Trzy ekspedycje Indiany Jonesa

Nowy portret w galerii herosów

Cykl ów nawiązuje do tradycji starej jak samo kino: do widowiskowych filmów awanturniczych. Filmów, których popularność spadła dopiero w latach powojennych (nastąpił rozwój westernu, pojawiły się filmy o komandosach, zaistniało kino SF – „dojrzała" też publiczność). A przecież obrazy „przygodowe" (tak je nazwijmy, choć to mało precyzyjne określenie) były w początkach X Muzy istnymi szlagierami. Kreowały też prawdziwych idoli. Takich jak Douglas Fairbanks (w okresie kina niemego) czy Errol Flynn (w początkach kina dźwiękowego). Fabuły nawiązywały do literatury, legend – lub też opierały się na scenariuszach oryginalnych. Częstym i nader ważnym elementem tych filmów była egzotyka; podnietą dla niezwykłych fabuł bywały także ówczesne sensacyjne odkrycia archeologiczne. Popularne były również awanturnicze powieści poruszające wspomniane tematy – jednak magia „spektaklu kinematograficznego" potęgowała intensywność przeżyć odbiorcy.

Do tej właśnie epoki nawiązali ludzie, którzy przywrócili kinu ową „magię": Lucas i Spielberg. Czym jednak różni się interesująca nas trylogia od filmowej tradycji, z której się wywodzi? Oczywiście, stroną techniczną – kolor, panorama 70mm, „dolby-stereo", nowsza generacja efektów specjalnych. Różni się także prezentacją bohatera i świata przedstawionego. Filmy te powstawały według oryginalnych scenariuszy (mimo nawiązań do poprzedników i umiejscowienia akcji w epoce „retro"), utrzymane są w jawnie pastiszowej tonacji – zaś główny bohater, ze swymi fobiami i zagrywkami nie fair, tylko na pierwszy rzut oka wydaje się być bezpośrednim spadkobiercą Fairbanksa i Flynna. Zresztą George Lucas, Steven Spielberg i Harrison Ford zdają się parodiować nie tyle wyżyny dawnego kina przygodowego, co jego przeciętność. I – podobnie jak w przypadku *Don Kichota* – jest to parodia lepsza od pierwowzorów.

Arka Przymierza jako Wunderwaffe

Bohaterem trylogii jest doktor Indiana Jones – archeolog zapuszczający się w najodleglejsze zakątki globu. Jednak już w pierwszym filmie cyklu zauważamy kilka istotnych innowacji. O nietypowości protagonisty już napomknąłem (boi się węży, gra nieczysto) – zaskakująca jest też fabuła. Po dość tradycyjnym wstępie (odnalezienie indiańskiego posążka) okraszonym świetnymi scenami (kamienna kula) – czekają widza niespodziewane emocje. Posążek zostaje bohaterowi odebrany (kolejne filmy rozpoczynają się równie niefortunnymi eskapadami), on zaś

otrzymuje nowe zadanie. Tym razem odnaleźć musi... Arkę Przymierza, której poszukują również... naziści (jest rok 1936). I na tym kapitalnym pomyśle opiera się cały utwór. Było to swoiste pójście na całość: jeśli ekranowi archeolodzy poszukiwali niezwykłych pamiątek przeszłości – niech bohater filmu *Poszukiwacze zaginionej Arki* odnajdzie tę najniezwyklejszą! Dodatkowy smaczek to obecność nazistów – i militarna motywacja prowadzonych przez nich poszukiwań. Na podobne wykorzystanie biblijnego wątku nie poważyłby się zapewne żaden twórca lat dwudziestych, trzydziestych czy czterdziestych; po Arkę – niedostępną dla Fairbanksa i Flynna – mógł sięgnąć dopiero Harrison Ford! Z tym pomysłem idzie w parze absolutna perfekcja wykonania (precyzyjny scenariusz poszukiwań; pomysłowo rozegrane sceny pojedynków; imponujące efekty specjalne) – oraz swoisty humor przepajający całość (główne założenie fabularne; Jones i Arab z mieczem; scena finałowa). Wszystko to uczyniło film superprzebojem – i zaostrzyło apetyt na zapowiedziane części dalsze.

Traktat o obcowaniu Człowieka z Materią

Druga część cyklu – *Indiana Jones i Świątynia Przeznaczenia* – była jednak swoistą niespodzianką. I to nie tylko dlatego, że opowiedziane w niej przygody umiejscowiono... wcześniej – w 1935 roku. Film ten zdawał się bardziej tradycyjny, nie tak przewrotny jak *Poszukiwacze* – i owa ocena wydaje się głównym nieporozumieniem... Ten film jest inny – ale nie gorszy! W obrazie tym twórcy zda się celowo nawiązali do dawnych fabuł i zrealizowali rzecz wzorowaną w większym jeszcze stopniu na scenariuszach „z myszką". Brak tu fabularnej smakowitości części pierwszej (taka opowieść byłaby do przyjęcia i przed laty), ale czerpanie z tradycji kina jest chyba jeszcze wyraźniejsze. W finale np. porządek przywraca interwencja armii kolonialnej (przecież w westernach tamtej epoki inaczej niż dziś pokazywano i generała Custera, i Dakotów); to oczywiście nie była żadna „polemika" z realizowanym w tym samym mniej więcej czasie *Gandhim* – lecz nawiązanie do konkretnych rozwiązań scenariuszowych.

Nie w tym jednak siła omawianego filmu. Ta opowieść o hinduskiej świątyni Zła – jest gorsza od *Poszukiwaczy* fabularnie, lecz lepsza inscenizacyjnie. Jest mniej literacka, ale bardziej filmowa. Tu nie liczy się „co" – tu liczy się „jak"! Karol Irzykowski w swej prekursorskiej, a do dziś fascynującej pracy poświęconej kinu – X Muzie (gorąco polecam wszystkim kinomanom!) – zauważył, że film jako jedyna ze sztuk ukazuje wzajemne relacje człowieka i otaczającej go materii. Trudno się dziwić temu twierdzeniu: wtedy na ekranach królowały slapstickowe komedie Chaplina i Keatona z ich cudownymi gagami! I do tej epoki kina nawiązał Spielberg – a uczynił to wykorzystując cały dostępny mu przemysł filmowy. Efekt jest imponujący – i w skali „makro" (setki baloników prutych pociskami z kulomiotów, gumowa łódeczka szybująca w powietrzu, wyścig kopalnianych wagoników), i w skali „mikro" (brylant zasypany kostkami lodu, dziewczyna biorąca węża-dusiciela za trąbę słonia czy wieszająca nietoperza na sznurze z bielizną). Richard Lester w swej brawurowej adaptacji *Trzech muszkieterów* zamieścił sceny godne mistrzów niemej burleski – ale autor *Świątyni* osiągnął rejony dostępne dotąd tylko krótkometrażowym kreskówkom Disneya! Ten perfekcyjny film przywraca ekranowej materii jej pierwotną magię; czyni to zaś tak doskonale, że jego strona scenariuszowa jest sprawą naprawdę drugorzędną...

Zabrakło może jednego – czysto fabularnego – gagu: ponieważ film pokazuje wydarzenia chronologicznie wcześniejsze – mógł w nim wystąpić francuski rywal Indiany Jonesa (który zginął podczas otwarcia Arki Przymierza). Bo *Świątynia Przeznaczenia* to jednak druga część trylogii; świadczy o tym chociażby parafraza gagu z Arabem (pusta kabura!). Jest to też dodatkowa zabawa konwencją: denerwujemy się o losy naszego ulubieńca – chociaż wiemy, że rok później odnajdzie on (cały i zdrowy) Arkę Przymierza!

Wariacja na doskonale znany temat

Trzecia część trylogii – *Indiana Jones i ostatnia krucjata* – bardzo przypomina część pierwszą: znów pojawiają się naziści (akcja toczy się rok przed wybuchem wojny) i znowu obiektem poszukiwań jest zabytek biblijny (Święty Graal!). Zresztą omawiany obraz sprawia wręcz wrażenie „dopisywania" nowych gagów do *Poszukiwaczy* (np. spotkanie Jonesa z Hitlerem) – coś na zasadzie „znacie, to posłuchajcie" czy klamry spinającej całość. Nie ma w nim ani tak precyzyjnych perypetii części pierwszej, ani takich wizualnych majstersztyków części drugiej. Ten film opiera się głównie na humorze sytuacyjnym (słowne utarczki obu Jonesów – seniora i juniora), zaskakuje też jawnie mistycznym zakończeniem (autorzy poszli dalej niż w scenie otwarcia Arki).

Atutami *Ostatniej krucjaty* są: Sean Connery jako Henry Jones (ojciec bohatera), początkowa sekwencja z Indym jako nastolatkiem (również wielką atrakcją Świątyni był młodociany aktor!), cel ekspedycji (wydawało się, że po Arce Przymierza nie da się już nic takiego wymyślić!), nietypowa heroina (należy do obozu wroga) – i oczywiście solidna filmowa robota (widowiskowość, tempo, humor etc.).

Ale ten film też lubię i akceptuję (od końca lat osiemdziesiątych przywykliśmy zresztą traktować *Arkę*, *Świątynię* i *Krucjatę* jako integralną całość). Jest bardzo przyzwoitym zwieńczeniem trylogii (że też tego nie można dziś napisać w przypadku najnowszych części *Matrixa* i *Terminatora*!). Trylogii – która już wkrótce trylogią być przestanie...

Czekając na nową wyprawę

Przymiarki do czwartego filmu o nietypowym archeologu trwają już od dawna. Projekt ten był zresztą ciągle odkładany. Teraz już jednak zdaje się nabierać kształtów, trwają prace nad scenariuszem – i zdjęcia mają się niebawem rozpocząć (znów za kamerą stanie Steven Spielberg, a przed nią – Harrison Ford). Rzecz będzie się działa najprawdopodobniej w latach pięćdziesiątych; zresztą wszystko okryte jest najściślejszą tajemnicą (czy znów będzie chodziło o zabytek biblijny? czy tym razem przeciwnikami będą enkwudziści?). Poczekamy – zobaczymy...

Czekam na ten film z małym niepokojem – ale przede wszystkim z dużą nadzieją!

Jan Plata-Przechlewski

PS.
Nie piszę tu o serialowym „młodym Indiana Jonesie". Lubię bowiem dobre kino rozrywkowe (które też jest sztuką!), ale omijam szerokim łukiem wszelkie okołofilmowe gadżety (które są już tylko przemysłem...).

/pierwotna wersja tego tekstu ukazała się w jednym z numerów fanzinu „Claps" w latach 80./

RAZ(l)EM, czyli przedpola fantastyki

Wizyta „głównonurtowca" na naszym poletku stwarza doskonałą okazją, aby odświeżyć nieco własny wizerunek: umiejętność spojrzenia na siebie „od zewnątrz" zapobiega tetryczeniu i autotematyzacji. Zawsze zresztą staramy się pisać nie tylko o fantastyce, a fantastykę umieszczać w szerszym kontekście tzw. kultury popularnej: nie czynimy zatem żadnego wyłomu w dotychczasowej „linii" pisma. Czytelnikom polecamy inne recenzje Johnny'ego, a samemu Autorowi zajrzenie do licznych pozycji znacznie lepszych niż ostatni zbiór „zajdlowy". (red.)

Od czasu do czasu lubię sięgnąć po coś, co zwykle nie mieści się kręgu moich zainteresowań. Wygląda to mniej więcej tak: dwa Łysiaki, Irving, Gretkowska, i zanurzam się w jakiejś biografii, esejach czy tomiku poezji - słowem, spaceruję sobie po zadupiach, zwanych fachowo poboczami literatury.

No i przyszła teraz kolej na fantastykę. Traktuję ją bardzo niesprawiedliwie, przyznaję, tak jak miłość przyjaźń - ot głupszy brat. Jest to o tyle dziwne, że bardzo lubię poczytać Lema felietonistę, a i Newsweek zaczynam od Ziemkiewicza. Jednakże wszystkich tych Zajdli, Lemów, Sapkowskich jakoś nie umiem przełknąć. Czort wie, poczamu - może to wynik zapomnianej czytelniczej traumy, która jednak na trwale wbiła się w moje literackie uprzedzenia. Nie cierpię również Coelho, dajmy na to, ale jego parę rzeczy przynajmniej liznąłem. Dziwne, prawda?

Wprawdzie czytam coroczną „Antologię" Zajdla, ale tylko po to, by sprawdzić, czy przypadkiem awersja nie dokonała nieoczekiwanej ewolucji w kierunku choćby przychylnej obojętności. I tu kolejna niespodzianka - opowiadania są rewelacyjne! Jednakże mam świadomość, że to najczystszy ekstrakt polskiej fantastyki i prawdopodobnie tak dobrany, by takie fantastyczne niemoty, jak ja kompletnie się nie zniechęciły. Dlatego podejrzewam wybrano opowiadania, a nie dajmy na to opasłe tomiszcze. Jak dla mnie - w to mi graj...

Ale powiem, że doskwierał mi ów brak rozeznania. Podejrzewałem, że tracę cuś z delicji. Science fiction jawił mi się jak burdel na uboczu, o którym krążą niesamowite plotki. Podobno ciupciają się tam nieziemsko, panienki to same rakiety, a orgazmy to czyste na Marsa odloty. A wszystko to na wyciągnięcie dłoni - ot regał w najbliższej księgarni. Jednakże tak to czasami bywa, że dostrzec oczywiste, to lata świetlne czytelniczej drogi.

No i postanowiłem spenetrować ów tajemniczy przybytek.

Na początek jednak zaaplikowałem sobie tylko wstępniaka - ot malutki striptisik. Od razu wykochać kosmitę trochę się bałem. Wybrałem pozycje, które wydały mi się bezpieczne, z racji mojego obeznania z tematem i jakby wręcz adresowane do mnie. Zakupiłem bowiem „Frajerów" Ziemkiewicza i „Dylematy" Lema.

Właściwie to takie sofciki polskiej fantastyki, a dla ortodoksów to pewnie nawet nie ocierają się o fantastykę, bo jedynie autorzy związani są z owym nurtem. Podejrzewam, że dla autorów owe felietony to zwykła chałtura, z której można wytrzepać nieco kapuchy. Ale może się mylę...

Same teksty dotyczą rzeczywistości - czasami bliższej, czasami dalszej, ale najbardziej rajcowały mnie te przygwożdżone bolcem współczesności. Pan Stanisław jest

bardziej wizjonerski i najlepszy w odległych czasoprzestrzeniach. Tak, jakby teraźniejszość była dla niego za ciasna. Odwrotnie Ziemkiewicz - im bliżej rzeczywistości, tym ostrzejsze pióro.

Obie pozycje wspaniałe: Lem - klasyk, Ziemkiewicz - młoda strzelba, drapieżnik robiący Mistrzowi koło pióra.

Takie zbiory felietonów mają to do siebie, że dają szersze pojęcie o człowieku. Tu raczej nie da się ukryć przetrąconych kulasów czy pukla na plecach - wszystkie flaki na wierzch. Wadą takiej wiwisekcji jest to, że to, co odkrywcze w jednym felietonie, w zbiorze kilkudziesięciu - staje się nużące. Mam tu na myśli Ziemkiewicza, którego wałkowana w kółko organiczna niechęć do „głównego nurtu" graniczy z idée fixe. Ja oczywiście przyznaję mu rację w kwestii kumoterstwa, dotacji, literackich koterii - że to jest be, ale o ile uszłoby to w jednym albo kilku felietonach, to w zbiorze - sakramencko denerwuje. Żeby jeszcze Ziemkiewicz poszedł dalej, i tak jak prosty lud uwielbia - po nazwiskach – to nie! W jednym z artykułów napisał, że mógłby kilka szpalt „takich" nazwisk dotowanych przytoczyć. Więc oczekuję z niecierpliwością na owe litanie, co by indeks pisarzy zakazanych stworzyć, a tu nic! Ziemkiewicz milczy jak ja na egzaminie! Popluć, jak najbardziej, ale tak nieszkodliwie, neutralnie, aby nikt w gębę przywalić nie mógł! Mnie to przypomina małego Kazia, który naśmiewa się z lśniącego rowerka kolegi, ale jeszcze bardziej wkurza go to, że jego pojazd napędzany jest per pedes.

Co ciekawe, identyczne zjawisko - dezawuowania innych – spotyka się u wielu pisarzy. Łysiak wprost furii dostaje na dźwięk słów Michnik, Kapuściński i peerelowskie elity. Lem odczuwa dziką satysfakcję z pomyłek innych futurologów. Ukułem z tego własną teorię - tzw. teorię fachowca. Polega ona na tym, że ilekroć pojawi się w domu jakiś fachowiec, to nim złapie się roboty, musi najpierw nawrzucać poprzednikowi od partaczy i imbecyli. - A któż to panu tak beznadziejnie kafelki w kuchni ułożył? – Poczym kładzie kafelki w łazience i sytuacja powtarza się, gdy przychodzi kolejny fachman, dajmy na to położyć kafelki na balkonie.

I jest to uniwersalna zasada, bo kiedy zobaczyłem ostatnio w telewizorze panel dyskusyjny o „Pasji" Gibsona, to niejako w ciemno mogłem założyć – i oczywiście nie pomyliłem się - że najbardziej schlastają film... Holland i Hanuszkiewicz. Tak jakby pokłon arcydziełu był hańbiącym gestem, jakby nałożenie innemu lauru na głowę było z własnej korony diamentów się pozbywaniem.

Najciekawsze jest to, że własną małostkowość próbuje się przyoblec w szaty krytyki. Ziemkiewicz też dostrzegł tę zależność, i w jednym z tekstów poruszył wątek jadu zazdrości, aplikowanego pod postacią krytyki kolegów po piórze, co nie przeszkodziło mu w innym felietonie zmieszać z błotem takiego, Bogu winnego, Pilcha. Jego „Spis cudzołożnic" sumuje krótko: powiastka o nieudaczniku, który miast prowadzić gościa prosto do burdelu, miota się po jakiś dawno zwiędłych damskich znajomościach.

W ten sposób wszystko można zajechać na amen. No bo ja na to powiem, że Szekspir to taki średniowieczny Stefek King, co zaciukał nożem starego, a potem nahajcowany jakimiś grzybkami miał fantasy, że tego starego znowu widzi i jeszcze lasy mu się przybliżają i kopidoły miast śmigać łopatą pierd#^lą coś do surowców wtórnych, i w ogóle lepiej było zamknąć gościa w wariatkowie, a nie dawać pióro do ręki. Ale co ciekawe - gdy Lem wypowiada się o polskiej fantastyce w identyczny sposób: że nie czyta, bo ma dość durnej pisaniny o ufoludkach - wtedy Ziemkiewiczowi gul śmiga. A jednak boli!

Ale cóż... w końcu felietony są subiektywne i nikt sprawiedliwości od nich nie wymaga. Jednakże gdy niesprawiedliwość zaczyna przekraczać rozmiary mojej Lubej,

znaczy to, że mamy zeppelina przed sobą i udawać że nic się nie dzieje - nie sposób. Nie mam jakiejś szczególnej satysfakcji wytykać błędy Ziemkiewiczowi, bo z reguły zgadzam się z nim, ale czasami gul śmiga jak z namaszczeniem egipskiego kapłana próbuje wcisnąć mi dupersztyki. Z tego co wiem, Ziemkiewicz jest polonistą, a częstuje mnie mądrościami ekonomi

cznymi, jakby miał o nich większe pojęcie od wujka Tyjodora. Dla niewtajemniczonych w moich koligacjach rodzinnych nadmienię, że wujek Tyjodor to taki typek, co równie skutecznie zbilansuje ujemny bilans polskiego eksportu, jak i przeprowadzi udaną transplantację żabiego udka w ludzki kościec. Zabiegi te zwykle mają miejsce u cioci na imieninach. Ziemkiewicz na szczęście nie brnie za daleko w *terra inc ognita* ekonomii, i takiego na przykład Rothbarda i tak nie pokona, ale czasami jak dowali do pieca, to przez 3 zimy sahara w chałupie.

Ot chociażby taki pierwszy przykład z brzegu....

W jednym z felietonów bierze na warsztat uniwersalną proporcję 80/20 i próbuje dopasować ją do społecznego garnituru. Dzieli ją sobie na 20% elity i 80% tałatajstwa, nie zostawiając na nim suchej nitki. Gdyby rzeczywiście tak było, że 80% stanowi tłuszcza - to zmiotłaby ona nas wszystkich na cacy. Otóż, o ile 20% stanowi elitę, o tyle 80% to klasa średnia, a nie żadna tam tłuszcza. Jasne, w naszych warunkach ta middle class mocno zabiedzona finansowo i intelektualnie, ale na pewno nie gawiedź. Ów społeczny pomiot, tałatajstwo i menelstwo, to co socjolog nazwie underclass, to najwyżej parę % społeczności. Niby garstka, ale ze względu na swą chimeryczność i nieprzewidywalność o wiele groźniejsza od gnuśnej i biernej większości.

No i jeszcze jeden kamyczek do Ziemkiewicza ogródka dobrego samopoczucia. Otóż dla autora „Frajerów" bożek sprzedaży stanowi największą wyrocznię artystycznej wartości. Poniekąd ma rację, bo jak mawiają Amerykanie - jesteś wart tyle, ile masz dolarów na koncie, ale parę akapitów dalej oburza się na popularność „Big Brothera". Jak to tak? Skoro ma istnieć tylko to, co się dobrze sprzedaje, to masz Pan „Big Brothera" i morda w kubeł! Toż to właśnie takie rewelacyjnie sprzedające się samograje - nikt do nich złotówki nie dołoży, a gawiedź pieje z zachwytu!

Bez telewizora jakoś umiem się obejść i w sumie mi pikuś, co kto ogląda (choć podejrzewam, że nieraz na festynie dostałem po ryju dokładnie w taki sam sposób, w jaki Szwarceneger potraktował szwarc charakter dzień wcześniej na Polsacie), ale Bogu dziękuję, że mamy jeszcze radiową Trójkę (pewnie też dotowaną) – i mogę posłuchać czegoś, co nie jest Britnejką, Szakirą czy boskim Enriquem.

Pozdrawiam – Johnny
www.johnny.civ.pl

***Rafał Ziemkiewicz „Frajerzy"**, Fabryka Słów, Lublin 2003, s. 448, oprawa miękka.*
***Stanisław Lem „Dylematy"**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2003, s. 290, oprawa miękka.*

Nowa pieśń na nowe czasy

Jak napisać powieść o wszystkim? Tę sztukę posiadło bardzo niewielu twórców, a w ramach fantastyki kojarzy mi się jedynie Ursula K. Le Guin ze swoją "Lewą ręką ciemności". A właściwie: kojarzyła, odkryłem bowiem właśnie drugą taką. Ten jedyny raz pozwalam sobie na porównanie z jedną z najlepszych książek w historii gatunku, po raz pierwszy bowiem natrafiłem na rzecz, która jest go warta. Powieść Wita Szostaka "Wichry Smoczogór" to rzecz genialna: najlepsza polska powieść fantastyczna od "Gniazda światów" Marka Huberatha i jedno z najwybitniejszych dokonań polskiej fantastyki.

Nie sposób w kilku zdaniach opisać, o czym jest ta książka. Najogólniej można rzec, że o zderzeniu uczonego rozumu z odwieczną mądrością tradycji i o wzajemnych zależnościach zmiany i stabilizacji. Młody uczony Wrzosiec przybywa z dalekiej stolicy w nietknięte nowoczesnością Smoczogóry, poszukując prawdy o smokach, które według ksiąg miały tam kiedyś żyć. Prawda, jaką znajdzie, jest jednak zupełnie inna od tej, której się spodziewa: uczone księgi i rozum nie będą potrafiły wyjasnić tego, co rozumie i ma za oczywiste tradycyjna góralska mądrość. Górale prawdę czerpią z odwiecznej pieśni, co kiedyś była jedna, a później uległa podziałom i dziś nie sposób już odbudować jej pierwotnego brzmienia z pozostałych strzępów; w przeszłości poszukują zatraconej jedności. Pieśń ta przestaje jednak wystarczać, bowiem niezwykłe wichry zwiastują nadchodzącą zmianę: zwiastują narodziny nowej pieśni. Jaka będzie ta nowa prawda na nowe czasy? Do odpowiedzi na to pytanie będzie wiodła droga uczonego Wrzośca i gęślarza Berdy – obu niepewnych swych przekonań i próbujacych dojść do ładu ze swiatem. A że i świat dochodzi właśnie do ładu sam ze sobą, to odpowiedź nadejdzie bardzo ciekawa.

Wszystko to ledwie część uwag poumieszczanych przez autora niemal na każdej stronie (celowo unikam dokładniejszego opisu, aby nie psuć lektury): to po prostu mądra książka, znajdująca prawdę i zrozumienie w najzwyczajniejszym życiu. Kontrast między szkolną uczonością a ludową mądrością pozwala Szostakowi wykpić wszelkie przejawy głupoty i nadętości, jakie cechować mogą racjonalny umysł; ale i góralska, oparta na posłuszeństwie tradycji mądrość nie jest wcale ideałem autora, skoro chciałby „wierności rozumnej" i „jedności w różnorodności". Niech was nie zwiedzie sceneria fantasy: to bardzo współczesne przesłanie, w którym odnaleźć można ślady ekumenizmu i demokratycznej tolerancji.

Może ważniejsza jeszcze jest w powieści jej atmosfera, nastrój mądrego, pogodnego i dowcipnego optymizmu, znajdującego radość we wszystkim: „Bo wszystko w tym świecie musi być rozdwojone i poróżnione, takie już jest prawo (...) z tego poróżnienia (...) szkoda jest i walka. Ale bez tego to by nic nie było. Ja zaś sobie myślę, że jest jak jest, ale jest. I lepiej, jakby miało nie być. Więc nie ma co narzekać." Jakże różne jest to podejście od życzeniowego pesymizmu Pacyńskiego czy prostackiego pesymizmu Ziemiańskiego. Cała ta mądrość jest w dodatku wsparta rewelacyjnym, doskonałym językiem: na 230 stronach znalazłem zaledwie jedno słowo, do którego mogę się przyczepić („krzyżyk" ze strony 104, jest nie z tej bajki) – mimo że ogromną wagę przywiązuję do językowej poprawności.

Nie mogę się nachwalić tej książki, ale warta jest każdego komplementu: odkąd zamilkła Krystyna Kwiatkowska – nikt w Polsce nie pisze w taki sposób. Szostak pokonał jednak zdobywczynię Srebrnego Globu, a jego powieść nie odstaje poziomem od najlepszych dokonań światowej fantastyki. Obawiałem się, czy zdoła utrzymać tak wysoki poziom do zakończenia, ale były to płonne obawy: jeszcze na ostatniej stronie autor zdołał mnie zaskoczyć. „Wichry Smoczogór" to właśnie wielkie, pozytywne zaskoczenie: to piękna, głęboka, wiarygodna pod każdym względem i mądra książka. Warto było przez lata uczyć się pisać recenzje, aby dać świadectwo czemuś tak znakomitemu. Witowi Szostakowi życzę wielu sukcesów krajowych i międzynarodowych, a czytelnikom niejednej jeszcze lektury tego autora. Niech pisze jak najwięcej.

Michał Szklarski

Wit Szostak „Wichry Smoczogór". Wyd. Runa, Warszawa 2003. S. 233, oprawa miękka, cena 23,50 zł.

Odloty Przewodasa:

RONICKU WRÓĆ!

I bredzą, bredzą, bredzą i bredzą, w straszliwych postach straszni listowicze. Z bełkotem, z dygotem, paplając, przez sieć, przez lądy i morza po bezsens i śniedź. Stękając, klikając i dudniąc w serwerach – o niczym, o niczym, o niczym... Uk! Uuuuuuuk!

Minęła nas właśnie Sekta Symfonicznych Czcicieli Bredni im. Juliana Tuwima, czyli lista dyskusyjna pl.rec.fantastyka.sf-f . Aby uniknąć nisko latających kwantyfikatorów zaznaczę od razu, że piszę o 90% dyskutantów i niniejszy felieton dedykuję garbowi krzywej Gaussa oraz średniej mediany. Od razu też dam pozytywny przykład jak można z sensem rozmawiać o literaturze – www.literatorium.pl. Tam np. jednym tchem mówi się o Kresie i Barańczaku! Jednak moich aktualnych bohaterów do literatorium nie zapraszam, bo wchodząc naniosą bełkotu na butach.

Moja niechęć do listy sf-f wynika z psychologicznego prawa pierwszych połączeń. Podczas pierwszej wizyty uderzyła mnie nieistotność zdecydowanej większośći wypowiedzi. Nie miał wpływu na to odczucie fakt, że akurat wtedy mówiło się tam o mnie z reguły dobrze. W realu tłumaczono mi, że tak musi być, więc postanowiłem okazać pozytywne nastawienie i poprosiłem o przekazanie posta inicjującego dyskusję o metafizyce. Osiągnąłem tyle, że przez jakiś czas modną złotą myślą dołączaną do postów był cytat: „Prędzej czy później do każdego przyjdzie Zagadka Bytu i ugryzie go w tyłek". Natomiast odpowiedzi na mój post kwalifikowały się do zbycia wzruszeniem ramion i tak też je potraktowałem. Przez następne pięć lat żyłem sobie doskonale wolny od myśli „a cóż tam nowego?"; Sieci używałem tylko do wysyłania mejli, czasem ściągnęło się jakąś stronę www.

Z błogiej nieświadomości wyrwał mnie Robert Pyzel – stary kumpel z technikum, SFanu i Polibudy, nadsyłając mejlem wybór jadowitych wypowiedzi o Przewodasie, czym przyznaję zdołał wyprowadzić mnie z równowagi (końska dawka z zaskoczenia). Porwałem się replikować, ale od czegóż ma się przyjaciół – Robert i Przemek wzięli na siebie trud odpierania ataków, a mnie przytrzymali za ręce i nogi, i poczekali aż mi przejdzie. Przeszło na tyle skutecznie, że kiedy nauczyłem obywać się bez pośrednictwa (że umiem, można sprawdzić na pl.sci.filozofia), moje postanowienie by nie babrać się w bełkocie pozostało nie zachwiane. Zwłaszcza, że bliski kontakt z umysłową antykoncepcją, panującą na liście sf-f, powoduje tak silną kontrreakcję fizjologiczną organizmu, że Robert i Przemek wkrótce po akcji w obronie Przewodasa zostali szczęśliwymi ojcami bliźniąt...

Dla mnie zmieniło się tyle, że odtąd zacząłem na sf-f zaglądać regularnie, sprawdzając czy nie objawił się jakiś rozsądny człowiek i kto tam znów biega z drewnem na stos dla Przewodasa. Tak jakoś niechcący wszedłem sobie w buty Wielkiego Brata, przepraszam. A względem ludzi rozsądnych należy stwierdzić, że wpadają oni na listę rzadko i na krótko. Jeśli już, to zwykle ich prywatne mejle są mi doskonale znane lub łatwe do ustalenia prze wspólnych znajomych.

Mogę Sz. Listowiczom wybaczyć notoryczne odchodzenie od tematu i nie kończące się ględzenie o rzeczach nijak nie związanych z głównym wątkiem dyskusji (o ile w ogóle jest jakiś główny wątek). Wybaczam wyszydzanie wielkich słów. Nie ingeruję też w prawo do demonstrowania niezrozumienia, niechęci i zawiści wobec Przewodasa. Przywykłem nawet do ekstatycznego samozachwytu Ewy Pawelec, jak

również faktu, że PWC po wejściu na listę traci zwykle 100 oczek IQ. To wszystko są sprawy dobrze wyjaśnione przez teorię memów. Kiedy bowiem znika minimalna myślowa dyscyplina (istniejąca w rozmowie na żywo, choćby luźnej przy piwie, ale o czymś konkretnym), wówczas klepki mózgowe ulegają rozszczelnieniu i memy wyciekają swobodnie, oddając się radosnej samoreplikacji, która dla postronnego obserwatora przybiera postać paplaniny. Jeśli jednym z tych memów jest mem niechęci wobec Przewodasa, funkcjonujący jako rodzaj sygnału rozpoznawczego - trzeba rzecz przyjąć do wiadomości. Na prawa przyrody obrażać się nie można, w każdym razie filozofowi to nie przystoi. Po prostu przygląda się człowiek temu wszystkiemu, jak przyglądał trzewiom rozciętej żaby w zaraniu młodości.

Nie sposób jednak zaakceptować zbiorowej hipokryzji. Kiedy Ukochany Idol, pozwany przed sąd powszechny za łamanie praw autorskich, bezczelnie ustroił się w szaty obrońcy tych praw i postulował opodatkowanie wypożyczalni książek na rzecz autorów, absolutnie nikt nie zwrócił mu uwagi na brak moralnego tytułu do zabierania głosu na ten temat. No, ale to można by jeszcze potraktować naukowo, jako kliniczny przejaw ślepego bałwochwalstwa. Jednak niedawno, na liście objawił się troll - pewien małorolny „ronick", który wniósł w listowy światek jedyną formę świeżości, jaką ów światek był w stanie przyswoić. W zamian zaczęto go skutecznie tępić.

Troll jaki jest, każdy koń widzi – gdyby był uprzejmiejszy, inteligentniejszy i wiedział np. w jakich wydawnictwach drukują czołowi pisarze SF i fantasy oraz miał aktualne wiadomości o „Runie" - nie byłby trollem. Wszakże należy docenić zapał, z jakim „ronick" zabrał się do bełtania zatęchłego bajorka pełnego ociężałych wzajemnych adoratorów. Dzięki trollowi można na przykład nabrać lekkiego dystansu do Kanonu Środowiskowych Wartości, co zapobiega zwapnieniu mózgu. A jednak przeciw „ronickowi" podniosła się Fala Moralnego Oburzenia.

Misiaczki Puszyste, a kto Wam dał moralne prawo oburzać się na trolla?! I jeszcze umieszczać go kilfejlach? Przecież sami zachowujecie się jak ostatnie trolle wobec ludzi których obgadujecie! Zwłaszcza wtedy, kiedy wydaje się Wam, że ci ludzie nie patrzą i nie mogą odwinąć się ciętą repliką. Czy dlatego, że pojawił się ktoś, kto podsunął Wam krzywe zwierciadło pod zapyziałe pysie, to go zaraz do kilfejla? Albo wyniośle pomijać milczeniem jego posty? Zasłużyliście sobie na „ronicka", a Wasza na niego reakcja jest miarą Waszego znikczemnienia.

Kochać trolla nie musicie, nawet się nie da. Można jednak wytężyć intelekt i spróbować go oswoić przez zaskoczenie. Trolle mają mało wyobraźni, więc łatwo je zaskoczyć. Dopiero jeśli nic z tego nie wyjdzie, można z trollem zagrać w pomidora (mój patent) albo go zagłodzić. Na początek jednak uderzcie się we własne piersi. W przeciwnym razie całą Waszą sieciową egzystencję pozostanie skomentować cytatem z opowiadania, które popełniłem wspólnie z Andrzejem Pilipiukiem: „Hej małpy, technika do was przybyła!"

Konrad T. Lewandowski

STRONA KLUBU GRACZY WARHAMMERA

SNOT

Teatrzyk "Różowy Juggernaut" przedstawia

"Pieśń o Archonie"

(z melodią „Lili Marleen")

Tam na Commoragh
Gdzie wiecznie wicher wiał
Siedział pewien Archon
Co wszechświat podbić chciał
I aby to spełniło się
Gromadził wielkie armie swe
|:razem z Raiderami.:|

Kiedy ruszył w pole
Okazało się
Ze był tam Kowal Wojny
Co wyglądał źle
I zaraz rozkaz szturmu dał
Nasz Archon co legiony miał
|:razem z Raiderami.:|

Błysnęły lance
Z gardeł się dobył ryk
Ruszyli w bój Eldarzy
Ich nie powstrzymał nikt
W tym się momencie rozległ huk
Bazyli ich powalił z nóg
|:razem z Raiderami.:|

Widząc to Archon
Sam się rzucił w przód
Ratować swe legiony
Póki jeszcze mógł
Kowala Wojny odnalazł wnet
Chcąc uciąć mu rogaty łeb
|:razem z Raiderami.:|

Lecz z Kowala Wojny
Kawał chłopa był
Miał on wielki topór
I chował go za tył
I gdy Archona przez łeb siekł
Shadowfield zgasł i Archon zmiękł
|:razem z Raiderami.:|

Tam na Commoragh
Gdzie jest wieczny mrok
Siedział pewien Archon
Co był zalany w sztok
Nad Shadowfieldem sie załamał
Bo znak on "Teraz Polska" miał
|:razem z Raiderami.:|
KONIEC

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

INFORMATOR # 179

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2
ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37
ADRES INTERNETOWY „INFORMATORA": informator@gkf.art.pl
STRONA GKF: www.gkf.art.pl
REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nacz.), Michał Szklarski (sekretarz redakcji), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski
OKŁADKA: Radosław Helman
RYSUNKI: Kamil Tytus Mikołajczak (12, 13), Jan Plata-Przechlewski (15, 23), Hubert Schweizer (3), Piotr Terszel (5, 7, 9, 12, 14, 20, 24)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 400 *WYDAWNICTWO BEZPŁATNE*

Teksty drukowane w „Informatorze" odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji